

REZONER



KULTURALNY

NR 0
LUTY 2016
<http://erka.wsdn.pl>

Rezoner:
1. człowiek, który lubi mędrkować
2. postać w utworze dramatycznym

(Prawie) Mądre powitanie!

Witamy Cię serdecznie Czytelniku! Oto przed Tobą zerowy (testowy) numer "Rezonera Kulturalnego"! O czym to jest? Ogółem o szeroko rozumianej kulturze, od teatru offowego przez książki, muzykę, poezję, malarstwo, aż do niektórych zjawisk społecznych i inne "widzinamsię". Dlaczego tak dziwnie się zwie? Wszystkie proste nazwy zostały już zajęte przez inne czasopisma! Po za tym lubimy się mądrzyć na Nasze ulubione tematy. Stwierdziliśmy, że puścimy te myśli w świat. Gazetka jest całkowicie darmowa, jeżeli chcesz możesz ją sobie ściągnąć na tablet/pc lub jeżeli organizujesz jakieś wydarzenie to wydrukować, pokserować i rozdać widzom do czytania w przerwach pomiędzy punktami programu. Co z tego dalej będzie? Sami nie wiemy! Wkładamy w to jednak serce, więc mamy nadzieję, że kolejny numer nie będzie ostatnim! Koniec mądrzenia! Miłego czytania!

Karol Barcki

„Angst nasz brytyjski, czyli dlaczego odcinki świąteczne najlepiej oglądać po świętach”

Nikt tak dobrze nie łamie serc widzom telewizyjnych seriali, jak Brytyjczycy.

Być może to Amerykanie odpowiadają za zapadające w pamięć odcinki, wielkie cliffhangery oraz epickie serie, jednak mało który serial z za oceanu może konkurować z produkcjami BBC oraz ITV w kategorii największego szoku, największej ilości złamanych serc oraz najbardziej emocjonalnej reakcji fanów. Różnica w podejściu do robienia seriali widoczna jest szczególnie w przypadku odcinków, na które widzowie zwykle bardzo czekają - specjalnych wydań bożonarodzeniowych.

Amerykańska telewizja przyzwyczała mnie do bajkowego, nieco cukierkowego obrazu świąt. Rozświetlony Waszyngton, zaśnięzony Nowy York, udekorowane bombkami palmy w biurach Los Angeles... I choć w rozmaitych serialach, przede wszystkim wieloodcinkowych proceduralnych, pojawiają się bardziej przyziemne elementy fabuły - trupy, dochodzenia, strzelaniny, pościgi oraz ratowanie ludzkiego życia, to zawsze na koniec odcinka można spodziewać się uroczego obrazka w postaci obsady serialu zgromadzonej przy choince, sączącej eggnog oraz śpiewającej kolędy. To

zazwyczaj pozytywne odcinki, w których ludzka natura ujawnia swoją jasną stronę i choć bohaterowie jak zwykle napotykać różne przeciwności losu, wychodzą z nich zwycięsko. W czasach kiedy byłam bardzo młodym i niedoświadczonym widzem, sądziłam że jest to raczej norma, coś na kształt niepisanej zasady, że w grudniu nie ma sensu przypominać ludziom, że świat to niespecjalnie dobre miejsce. Cóż, a potem zaczęłam oglądać brytyjskie seriale - i przeżyłam szok kulturowy.

Nie zrozumcie mnie źle, jestem wielką fanką telewizji z Wysp. Zajmują sporą część mojej watchlisty i staram się rzucić okiem na każdą bardziej obiecującą premierę, więc nawet pewne emocjonalne turbulencje nie powstrzymują mnie przed włączeniem nowego odcinka. Jednak tych świątecznych staram się unikać jak diabeł święconej wody, bo dla mnie święta Bożego Narodzenia są kulturowo raczej radosne, beztróskie i pełne dzieciennego wręcz zachwyty nad światem. Nie lubię sobie psuć tego grudniowego optymizmu, więc na kilka świątecznych dni staram się zapomnieć o wszystkich popkulturowych zaległościach, jakie mi się nagromadzą przez ten okres. I wywodzi się



Kubanki
rys. Milena Hościłło

to z raczej bolesnego doświadczenia.

Odcinki świąteczne nie zawsze są smutne. Jak chociażby „Downton Abbey”, które kontynuuje w grudniu wątki z normalnego sezonu, nie zawsze bombardując widzów choinkami i wigilijną wieczerzą. Jednak z drugiej strony to właśnie w tym serialu zabito jedną z głównych postaci pod koniec jednego z odcinków bożonarodzeniowych, co odbiło się bardzo dużym echem wśród zbulwersowanych fanów serii - nic dziwnego, też byłabym oburzona gdybym oglądała odcinek siedząc pod choinką i z całkowitego zaskoczenia zabito by mi ulubioną postacią. To mało taktowne, psuć odbiorcom święta tak smutnym tematem jakim jest śmierć i żałoba. Oczywiście, nikt nie neguje że ludzie umierają niezależnie od daty, jednak czy nie jesteśmy już tak otoczeni negatywnymi informacjami w każdym dniu normalnego, codziennego życia, że ten jeden bez smutnych wiadomości i przeżyć mógłby taki pozostać?

Skoro już przy zmianach w obsadzie i świętach jesteśmy - co mają powiedzieć fani „Doctora Who”? Specjalne odcinki świąteczne rzadko kiedy są w tym serialu optymistyczne, wręcz przeciwnie, wiele z najbardziej dramatycznych i emocjonalnych epizodów serii było oznaczonych dopiskiem ‚special’. W grudniu 2013 fani ze łzami w oczach pożegnali Matta Smitha, którego Jedenasty Doktor ustąpił miejsca swojemu następcy, granemu przez Petera Capaldię. Także powszechnie kocha-

ny Dziesiąty zakończył swoje panowanie w grudniu. Nie można tutaj powiedzieć, że smutne zakończenia bożonarodzeniowych odcinków to kwestia polityki stacji - sielankowe „Downton...” to produkcja ITV, zaś „Doctor Who” to BBC. Jednak obie stacje mają wiele złamanych fanowskich serc na sumieniu, nie tylko w kwestii odcinków emitowanych poza normalnym sezonem.

Brytyjczycy lubują się w trudnych tematach. Niewiele kostiumowych seriali quasi-historycznych dotyka problematykę np. niewolnictwa - nie powstrzymało to twórców „The Musketeers” przed podniesieniem tego problemu z bardzo brutalny, ale jednocześnie szczerzy i zgodny z realiami historycznymi sposób. Powstał dzięki temu moim zdaniem najlepszy odcinek pierwszego sezonu - ‚Commodities’, który przypomina widzom, że w siedemnastowiecznej Francji handel ludźmi i brak praw człowieka, do których my, dzieci Zachodu jesteśmy tak przyzwyczajeni i przywiązani, to norma. Wspomniane już wcześniej „Downton Abbey” poruszyło tematy rasizmu, dyskryminacji klasowej, praw kobiet, a nawet gwałtu. Jedną z najnowszych i bardzo obiecujących produkcji, „The Crimson Field” to dość otrzeźwiający spojrzanie za kulisy szpitala wojskowego w czasie I wojny światowej, zaś jeden z odcinków w bezpośredni sposób odnosi się do niesprawiedliwego proceduru skazywania na śmierć tych żołnierzy, którzy

zostali uznani za tchórze, próbowali zdezerterować bądź jeśli istniało podejrzenie, że ranili się specjalnie aby uniknąć dalszej walki w okopach.

Poza tematyką, o którą trudno w amerykańskich produkcjach, brytyjska telewizja obfituje w serie kryminalne, które jednak bardzo różnią się od swoich odpowiedników po drugiej stronie Atlantyku. „Sherlock” BBC poza bardzo specyficznymi bohaterami ma również tempo akcji, które może nie do końca odpowiadać tym odbiorcom, którzy przyzwyczajeni są do czterdziestominutowego formatu procedurali. Nieodżałowane „Whitechapel” w fantastyczny sposób łączy zagadki kryminalne z elementami nadnaturalnymi, przez co powstaje niepokojąca, eklektyczna mieszanka, która niestety nie doczeka się kontynuacji poza czwarty sezon. Z kolei „Ripper Street”, kostiumowy procedural z niezwykle utalentowaną obsadą, to intrygujące połączenie gatunków - i jednocześnie dość duży fenomen. W końcu kiedy BBC postanowiło zdjąć serial z anteny, finałowy odcinek drugiej serii miał najwyższą odnotowaną oglądalność w historii „Ripper Street” - dzięki czemu stacja zgodziła się przenieść prawa i powstanie trzeci sezon. Jednak oglądanie żadnego z tych trzech tytułów nie jest w żaden sposób łatwe. Fan brytyjskich seriali musi liczyć się z bezlitosnymi cliffhangerami, długimi okresami oczekiwania na następny sezon, niepewną sytuacją dotyczącą przedłużenia lub zakończenia emisji (nadal nie ma oficjalnej decyzji dotyczącej „Whitechapel”, zaś „Torchwood” nadal ma status ‚zawieszony’) oraz nieodłącznym dla Brytyjczyków angstem. Doskonale wiedzą o tym fani „Sherlocka” BBC - ludzie, którzy mają gigantyczne pokłady cierpliwości i w tym momencie już całkiem spore doświadczenie w czekaniu na następny mikro-sezon.

Ale szczerze mówiąc - czasem warto pocierpieć, popłakać i poczekać. Dla fantastycznego trzymywania się realiów historycznych, dla emocji, które niewiele seriali w obliczu przebogatego rynku jest w stanie jeszcze z widza wykrzesać. Często dla aktorów, na których brytyjskie stacje nie szczędzą środków. Albo chociaż dla czystej przyjemności oglądania?

Olga Sienkiewicz

Co mnie wkurwia w teatrze?

Na to pytanie nie ma jednej odpowiedzi, a każdego zapewne wkurwia co innego. Widza mogą wkurwiać ceny biletów, technicznego nadmiar techniki we współczesnym teatrze, a mnie cała reszta.

Będę pisał trochę nie po kolei, pozwalając sobie na miejsce na nowe myśli, które mam nadzieję wypłyną w trakcie pisania i myślenia o moim wspomnianym wkurwieniu. Na początek wkurwia mnie frekwencja na spektaklach i festiwalach. Ktoś poświęca kilka miesięcy, czasem lat pracy na stworzenie kolejnej „wyrwanej prosto z serca” opowieści o swoich wątpliwościach i nadziejach, stara się ogarnąć chaos na świecie i siebie wirującym w tym chaosie, jedzie pół dnia, jak nie dłużej, na drugi koniec Polski (często wyklada pieniądze z własnej kieszeni, jeżeli jest to np. konkurs), gdzie czekają na niego organizatorzy, którzy dobry rok temu złożyli wniosek i modlili się, żeby dostać w kolejnym roku dotację na festiwal, czy prezentację kilku spektakli, musząc się przepychać z instytucjami i bardziej godnymi nagrody z Ministerstwa zawodnikami, pół roku dzwonili po ludziach, załatwiali sprzęt i media, a ostatni miesiąc przed festiwalem praktycznie w ogóle nie spali, by świętować przez 3 dni w roku urodziny ich dziecka - ich własnego festiwalu teatralnego, którym chcą się dzielić z miejscową i przyjezdną ludnością. Nie zapominajmy o konieczności finansowego rozliczenia po festiwalu! I przyjeżdżają te teatry na te festiwale. Sala na 150 osób, media na miejscu, a na sali w trakcie spektaklu 15 osób, w tym 3 jurorów, organizator, kamerzysta i facet z radia. Coraz częściej też festiwalową publiczność stanowią przyjezdne teatry, które na konkursach, żeby nie wzbudzić zainteresowania spektaklem, zwiększając tym samym szansę rywalu na wygraną, są bardzo wstrzemięźliwe w reakcji na to, co się dzieje na scenie. Jeżeli chodzi o nasz dwuosobowy teatr sprawa jest nieco łatwiejsza, ponieważ koszt transportu i akredytacji są zredukowane do minimum, a ewentualna nagroda/wynagrodzenie korzystne do podziału. Inaczej wygląda to w wieloosobowych teatrach, gdzie jak nie pomoże dom kultury, który ze swojej budżetowej kielbaski ma co roku od-

cinany kolejny plasterek na remont lokalnej drogi (która ze względu na stawianie w Polsce na oszczędność, a nie na jakość, za rok znowu będzie trzeba remontować) sam nie ma na organizację festiwalu, ani nawet na wypłaty dla pracowników, a o pokrywaniu kosztów na wyjazd dla 10 osobowego teatru gdzieś 100-500 km w jedną stronę + koszt akredytacji sięgające od 20 do 120 zł za osobę oraz wysoka niepewność wygranej (czynniki wygranej są różne: od preferencji jury, aż po lokalne układy organizatorów), która mogłaby ewentualnie pokryć koszt opłat związanych z przyjazdem teatru na festiwal, sprawia iż teatrowi coraz ciężiej jest gdziekolwiek się pokazywać. Dlatego teatry zaczyna pożerać powolna śmierć głodowa. Wracając na chwilę do organizatorów, to i tu zdarza się, że ich zaangażowanie w promocję festiwalu kończy się na powieszeniu plakatu przed drzwiami teatru...

Uczestnicząc w półtorarocznym projekcie organizowanym przez Instytut Jerzego Grotowskiego we Wrocławiu, Teatr Kana w Szczecinie i Teatr Brama w Goleniowie - Akademii Teatru Alternatywnego, słyszę coraz więcej przykładów na to, że nie ma i nie będzie lekko. Nie tylko teatry działające od wielu lat w Polsce mają problemy z siedzibą, z finansowaniem, z rozpadaniem się grup i ogólną zawsze niepewną przyszłością. Sam Eugenio Barba wraz z Odin Teatret, który poświęcił teatrowi 50 lat swojego życia musi pisać projekty i co roku czekać, czy mu jakakolwiek manna z nieba spadnie. Ja sam widzę, że studia i związane z nimi wspaniałe (51%) zniżki studenckie na pociągi, komunikację miejską i większość wydarzeń się kończą, a odłożone ze stypendium resztki wystarczą mi na dwa miesiące czynszu w Szczecinie. Do tej pory jakoś się udawało i nawet udało mi się przeżyć 23 lata nie będąc nigdy zatrudnionym „na serio”. Teraz nadchodzi w życiu moment (pewnie nie pierwszy), gdzie trzeba znaleźć balans pomiędzy możliwością samodzielnego utrzymania się (strach pomyśleć, gdybym miał rodzinę utrzymać!), a tworzeniem sztuki na poziomie. Może rozwożenie pizzy, może artystyczne chałtury po weselach, a może całkowite oddanie teatrowi i zrezygnowanie np. z ogrzewania mieszkania? Steve Jobs podobno na początku swojej drogi tylko raz w tygodniu jadł ciepły, darmowy posiłek, po który musiał iść kilka kilometrów pieszo do jakiejś organizacji charytatywnej, a Kantor mieszkał na strychu. Dużo się mówi o bie-

dzie artystów, czego boję się powoli także ja i moi rodzice (dziękuję za ich mentalne i finansowe wsparcie!).

Ponadto będąc artystą możesz czekać i te 50 lat i nie zostać zauważonym. Potrzeba wiele wytrwałości i pracy, by ktokolwiek, kiedykolwiek Cię zauważył i docenił. Czasem to kwestia przypadku, ale głównie zdolności i reprezentowanego poziomu. Także ryzyko jest duże, kasa słaba, a sukces, tak jak wszystko w tej branży - niepewny. Z tego powodu wielu znajomych z teatru traktuje go, pomimo szczerych chęci i pasji twórczych, na drugim miejscu, obok regularnej pracy. Muszą pracować w obuwniczym, w korporacjach, prowadzić zajęcia na świetlicach lub zbijać dachy. Czasem to ludzie będący lekarzami, czy prawnikami, którzy po pracy znajdują godzinkę lub dwie na pracę ze spóźniającą się na próby grupą. Dużą przeszkodą jest też autodyscyplina i automotywacja, bo przecież jeżeli sam chcesz coś robić, to nikt nad tobą nie stanie i nie powie Ci, żebyś wziął się do roboty. A z motywacją bywa różnie. Gdy zagra się dobry spektakl, wygra na festiwalu lub gdy wraca się z dalekiej trasy, czujesz, że twoja praca ma sens, że robisz to dla kogoś i po coś. Ale są momenty, gdy zadajesz sobie pytanie: „Na chuj mi to?! Tyle się narobiłem, najeździłem, a nawet nie mam za co opłacić Internetu. Poza tym nikomu już chyba teatr niepotrzebny.” Dlatego tak wielu ludzi odchodzi z teatru, a utrzymanie grupy, to nieustanna praca, na którą nie każdego stać. Przynajmniej psychicznie. Ale nie załamujemy się: może i nie będzie łatwo i przyjemnie, ale przynajmniej będę żył po swojemu.

Nie bądźmy też takimi sceptykami! Przecież pomimo ucinania dotacji na kulturę i teatr (wiwat nowa władza!) i ograniczanie wolności słowa i wypowiedzi (kolejny wiwat!) wciąż istnieje sztuka, która przecież mówi coś o człowieku, która pokrzepia go w tak trudnych do pojęcia czasach, która pokazuje „mam tak samo jak ty, ale nie poddaję się”. Niestety... Spektakle często są produkowane na uciechę teatru, który go realizuje. Treść nigdy nie leżała nawet obok człowieka, tematy są płytkie, a forma staromodna lub ściągnięta ze instytucjonalizowanego mainstreamu. Rzadko widzę coś dobrego w teatrze. Najbardziej mnie to w sumie wkurwia na Niemieckiej scenie niezależnej i nie tylko. Galerie sztuki współczesnej wypełnione są dziełami

stanowiącymi zabawę konwencjami, temat przekraczania granic sztuki i pytania dotyczące np.: miejsca keczupu w lodówce (ale wymyśliłem). Wszystko jest wystylizowane i ładne dla oka, ale nie ma tam żadnej treści mówiącej o mnie. Nic, co by mnie przybliżyło do jakiegokolwiek z pytań chociażby o tak prozaiczną rzecz, jak sens życia na ziemi, czy trudną drogę do bycia lepszym człowiekiem. A po co to komu? Przecież mamy kapitalizm! Wszystko podane od zaraz na talerzu. Gotowe odpowiedzi i proste rozwiązania. Musisz tylko myśleć jak my i robić to co my.

Ja generalnie jestem wkurwiony na cywilizację i ludzi, którzy całkowicie zawierają ludzkiemu rozumowi i postępowi. Najchętniej prowadziłbym proste, leniwe i szczęśliwe życie pośród buszu i „dzikich” plemion (tak to sobie przynajmniej wyobrażam), ale urodziłem się w XX w, a żyję w XXI wieku w Polsce, w kraju zazdrości i milionów nieudanych żyć, na świecie który widział (i nie zapowiada się, by przestał widzieć) wojny, ludobójstwa, głód, niesprawiedliwość i inne takie, ale o tym już przecież każde dziecko wie. Staram się kierować jednak na ile potrafię miłością i wrażliwo-

ścią (co nie jest proste) i wierzyć jednak, że życie nie jest dane, ale zadane i że dzięki teatrowi uda mi się to zadanie zrealizować.

No i wkurwia mnie że w Szczecinie nie ma szkoły aktorskiej. Ale może to i dobrze. Według powszechnie panującej opinii szkoły aktorskie tworzą klony na potrzeby reklam i seriali. Ludzie wychodzący po szkołach aktorskich dostają papier i nagle stają się aktorami, którzy nie wiedzą, jak być zadanym i ile pracy i wysiłku jest przed nimi, ani tym bardziej nie wiedzą co to znaczy być sobą i jaka jest ich wartość, za to potrafią stanąć pod odpowiednim kątem i ukłonić się w odpowiednim momencie. Wiem, że wielu wspaniałych aktorów, nawet nurtu umierającej (czy może po prostu transformującej się?) alternatywy, jest po szkołach i wielu wspaniałych ludzi nas namawiało na aplikowanie do szkół aktorskich. Czas pokaże. Przeraza mnie jednak wizja zamknięcia na 5 lat w budynku uczelni, zapomnienie o własnym teatrze, warsztacie i drodze i realizowanie założeń programowych. To chyba nie moja droga, ale może właśnie Tobie uda się nie zaprzedać.

Martwiła mnie przed długi czas jeszcze jedna myśl. Pewien Eugeniusz, który

prowadzi Polski Teatr w Moskwie, podał przykład na to, jak powstaje sztuka. Porównał ją do lalki. Otóż wyobraźcie sobie, że są dwie lalki: jedna jest na witrynie sklepowej, za grubą szybą, gdzie pośród jasnego oświetlenia leży bez skazy, w zawiniętych blond lokach, z czystą sukieneczką i ze wszystkimi guzikami na miejscu - to nie jest sztuka. Druga z lalek leży porzucona gdzieś w kałuży, pośród nocy i zimnego deszczu. Ma powyrywane guziki, rozszarpaną sukienkę i rozpruty brzuch - to jest sztuka. Byłem wściekły, stwierdzając że przez całe życie będę zajmował się czymś, co traktuje o okrucieństwie, zepsuciu, chorobie i śmierci. Dziś widzę, że sztuka może powstawać także ze szczęścia i euforii, chociaż częściej zdarza mi się pisać, gdy jestem smutny lub wkurwiony.

Pewnie wiele z myśli mi pouciekało po drodze lub pochowało się po zakamarkach mózgu, ale zostawię sobie trochę wkurwienia na potem.

Zadanie na dziś: A co Ciebie wkurwia w teatrze?

Dominik Smaruj

„Nie płacę za pracę” - rozmowa z Patrycją Sawicką

Karol Barcki: Witaj Patrycio! Padło na Ciebie, otwierasz pierwszy numer! „Simy na stażu” bo o nich będziemy rozmawiać, to podobno Twój debiut jako scenarzystki/reżyserki.

Patrycja Sawicka: Faktycznie „Simy na stażu” są moim debiutem pod wieloma względami. Napisałam swój pierwszy tekst, który został laureatem tegorocznego konkursu OFF PREMIER poznańskiego Teatru Ósmego Dnia. Po raz pierwszy zaprosiłam też do współpracy aktorów i zderzyłam się z produkcją spektaklu, począwszy od koncepcji, poprzez pozyskanie sponsora i patronów medialnych, kończąc na współpracy z Zespołem Ósemek, próbach i przeżyciu premiery. Takie ryzyko i wielka odpowiedzialność – realizacja spektaklu finansowanego z publicznych środków, również była dla mnie nowością. Nadal nie wierzę, że to stało się naprawdę!

K.B.: Jakim cudem udało Ci się namówić zawodowych aktorów, aby zagrali w Twojej pierwszej sztuce?

P.S.: Pytanie, kim jest zawodowiec. To był faktycznie cud (śmiech), a właściwie splot dziwnych i stresujących okoliczności, które sprawiły, że moje simy – czyli aktorzy: Ewelina Gnysińska, Krzysztof Brzazgoń i Marcin Zarzeczny znaleźli się w obsadzie. Bardzo pomógł mi w tym Krzysztof Ogłóża, któremu zawsze będę wdzięczna za pomoc w doborze obsady. Dotychczas nie mieliśmy okazji współpracować, ale moim marzeniem jest, żeby kiedyś tak się stało.

K.B.: Jak wyglądały próby? Nie wymądrzali się, nie podważali Twojej koncepcji na spektakl?

P.S.: Wszyscy się wymądrzaliśmy! Idziemy temu mogliśmy się dowiedzieć czegoś o sobie, o naszej dziwacznej rzeczywistości i poglądach. Takie zderzenia są bezcenne. Próby odbywały się w szalonym tempie; dotychczas nie spotkałam się z tak intensywnym trybem pracy. Cała koncepcja była wielokrotnie dyskutowana, tym bardziej, że zrobiliśmy reżyserię zbiorową.

Podkuśło mnie, żeby dać aktorom wolną wolę – opcję, która była dostępna również w grze. I dzięki temu, efekt wymiany pomysłów na konkretne sceny wypełnił się wstu procentach. Każdy z nas jest pełnowartościowym twórcą simów, a jednocześnie bierze odpowiedzialność za pomysł na własnego sima.

K.B.: Pewnie w okolicy poznańskiej premiery spektaklu już Cię wiele razy o to pytano, ale dlaczego akurat na temat wybrałaś stażystów?

P.S.: Głównym powodem był fakt, że sama doświadczyłam nie raz pracy na bezpłatnym stażu. Jeżeli ktoś decyduje się na staż z potrzeby rozrywki, poznania ludzi o podobnych pasjach czy spróbowania swoich sił w innej branży – to jest super. Albo wolontariat, np. w sektorze szkolnictwa czy placówkach charytatywnych – trzeba wspierać te postawy z całych sił, bo taka forma pracy ma nieocenioną wartość społeczną. Ale jeżeli potencjalny pracodawca kusi możliwością etatu – a takie pokusy często czyhają w miejscach, których spokojnie stać na opłacenie stażystów, to mówimy

o zwykłym wyzysku i taniej sile roboczej. Jeśli komuś faktycznie zależy na etacie, będzie podwójnie wydajny. Niestety, stereotyp o stażystach od czarnej roboty jest ciągle żywy, a to mija się z jakąkolwiek ideą kształcenia. Często, po trzech miesiącach pracy, wynagrodzeniem jest zaświadczenie i kubek z logiem firmy, w których „gra w staż” nie ma końca. Takie zachowanie jest żenujące, w złym guście.

K.B: Czyli Wasz spektakl to forma manifestu, a przecież manifesty są dla teatru offowego, a nie państwowego i zawodowców, z którymi pracujesz.

P.S: Nie wiem, kto tak powiedział, ale to jakaś totalna bzdura! Jesteśmy elastyczni – spektakl jest tak zorganizowany, żeby można go było grać także w kameralnej przestrzeni offowej – i chętnie odwiedzimy różne miejsca. Zresztą... nie ważne jest, kto robi. Ważne jest, w jaki sposób, po co i jaka jest siła rażenia. Reszta się nie liczy.

K.B: Dlaczego postanowiłaś się odnieść do gry komputerowej „The Sims”? Nie boisz się, że Ci starsi widzowie mogą nie podłapać odniesień?

P.S: Zupełnie nie. Założeniem było, żeby dotrzeć do dwóch konkretnych grup odbiorców: stażodawców i potencjalnych stażystów, niezależnie od tego, w jakim są wieku. Żeby i jedni i drudzy nie byli słabi – cokolwiek to znaczy. Poza tym, spektakl jest tak skonstruowany, że nawet dla tych widzów, którzy nie znają gry, komunikat będzie czytelny.

K.B: Który moment pracy nad spektaklem był dla Ciebie osobiście najtrudniejszy?

P.S: Chyba dzień przed premierą. Apogeum stresu i zmęczenia. I w pewnym sensie wzruszenie, że jutro urodzi się moje małe artystyczne dziecko, na które pracowałam prawie dwa lata.

K.B: Nie uważasz, że to temat w którym powiedziano już wszystko, wszyscy przecież opowiadają znajomym o swoich doświadczeniach ze stażami, a wiele z tych historii krąży w internecie w różnej formie (to pytanie typu: dlaczego warto powiedzieć o tym ze sceny?)

P.S: Widzisz, wszyscy mówią, ale po cichu, między sobą. Może się boją? Chociaż sama nie wiem czego, bo w tym przypadku

nawet nie można wylecieć z pracy (śmiech). Problem staży jest aktualny i ważny, a więc jest idealną sprawą dla teatru. Obroniłam magisterkę o teatrze społecznie zaangażowanym i konsekwentnie powtarzam, że od rozrywki jest telewizja. Teatr musi mieć wartość dodaną – i mam to na piśmie! (śmiech) Poza tym, te historie zrezygnowanych znajomych bez pracy, irytujące ogłoszenia o przygodzie życia... to wszystko jest takie...oklepane...nudne... Jeśli „Simy...” zapoczątkowałyby wśród firm jakąś modę płatnych staży, to byłoby coś! Chętnie pochwałę się na fanpage spektaklu na Facebooku każdym „nawróconym pracodawcą”, bo dobre praktyki trzeba nagradzać na różne sposoby.

Dziękuję za rozmowę i życzę powodzenia na premierze w Warszawie!

Gościem tego wywiadu była:

Patrycja Sawicka – animatorka społeczno-kulturalna i pedagog mediów, studiowała na Uniwersytecie Warszawskim.

Wywiad przeprowadzony dnia 2 lutego 2016 r.

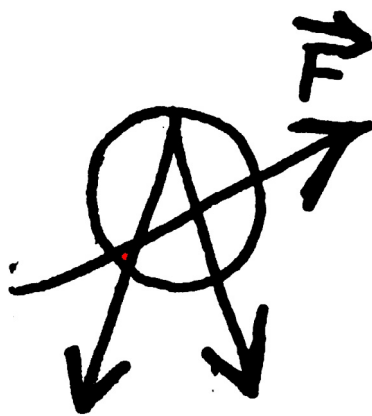
Rozmawiał Karol Barcki

NIE SIŁĄ, A SŁOWEM

„Nie jesteśmy zespołem społecznych buntowników. Mamy nadzieję, że dla naszych słuchaczy podział na Wschód, Zachód, Północ i Południe nie ma szczególnego znaczenia” – mówią członkowie niezależnego Zespołu SHKLO z ukraińskiego Charkowa. W lutym 2016 roku nakładem Portalu DLA KONTRASTU zostanie wydana fizycznie debiutancka EP-ka zespołu. W tym samym miesiącu SHKLO i DLA KONTRASTU ruszą we wspólną trasę koncertową.

Szymon Kazimierczak: W ostatnich miesiącach w polskich mediach zdecydowanie zgasł temat konfliktu na Ukrainie. Jaka teraz panuje atmosfera w Charkowie?

Iewgen Demeschenko: Media to media. Kładą nacisk na rankingi oglądalności. Teraz wojna na Ukrainie przyjęła pozytywny charakter. Rosja nie może się przedrzeć przez naszą linię obronną, żeby dostać się w głąb kraju bez wprowadzania nowych dywizji. Z kolei nasze wojska nie mogą wyzwoić okupowanych terenów, bo są związane porozumieniami pokojowymi, a poza



Anarchia fizyczna
rys. Najgorszy Malarz na Świecie

tym boją się przyjscia nowych oddziałów z Rosji. Teraz jest to wojna na wyczerpanie. Dlatego myślę, że media skupiają się na bardziej nośnych wiadomościach, na przykład z Syrii.

U nas te tematy są nadal aktualne. Do tego dochodzi wzmożenie ekonomicznego nacisku na Rosję, na przykład przez blokadę Krymu. Przeżywamy teraz reformę społeczeństwa i impotencję starej politycz-

nej elity. Myślę, że niedługo Ukraina znów będzie na pierwszych stronach międzynarodowych mediów, bo teraz na topie będą polityczne wojny.

Tymczasem Charków, jak i cała Ukraina, przygotowuje się do Świąt Bożego Narodzenia.

Kazimierczak: Zaczęliście działać jako Shklo mniej więcej w czasie najbardziej dramatycznych wydarzeń politycznych i społecznych na Ukrainie. Czy to odcisnęło piętno na Was, a w konsekwencji — Waszej twórczości?

Bogdan Shapkin: To, co działo się i dzieje teraz na Ukrainie, to najbardziej skomplikowane i absurdalne zjawisko, jakie kiedykolwiek widziałem. Ale jak dziwne by się to nie wydawało, jeszcze rok temu byłem aktywnym uczestnikiem tego politycznego wydarzenia, które formułowało moją postawę i stosunek do świata. Członkowie SHKLO w różnym stopniu przejmowali się i przejmują tę wojnę oraz innymi smutnymi wydarzeniami, które zarówno na początku, jak i teraz, oczywiście mają wpływ na nas wszystkich.

Nasza muzyka zaczęła powstawać w atmosferze politycznej propagandy, wtedy pojawiały się zarysy melodii, rodziły się niektóre linijki tekstów. Telefon od przyjaciela z frontu, wiadomość o jego niewoli po tygodniu od zerwania kontaktu, atak terrorystyczny w kawiarni, w której byłem dwie godziny przed wybuchem – to silny doping dla świadomości, takie rzeczy rodzą miliony myśli, które czasem trudno jest zrozumieć. Trudno odpowiedzieć na pytanie, co robić i jak dalej żyć.

Wiele ludzi wyjechało, do Polski, Niemiec, Rosji, kto i dokąd – zależy, co komu było bliższe. My zostaliśmy, bo czujemy w sobie siłę do pracowania tutaj, bez względu na to, że niewygodnie jest grać. Być patriotą w ciężkim dla kraju czasie i nie śpiewać o Ukrainie i Wojnie oznacza niedotarcie do szerokiej widowni. Chociaż jedną piosenkę poświęciliśmy tym czasom, nazywa się Ukrainie.

Kazimierczak: Może to i banalne pytanie, ale wiem, że np. w przypadku mojego zespołu DLA KONTRASTU jest fundamentalne: jaki był pierwszy impuls do założenia zespołu?

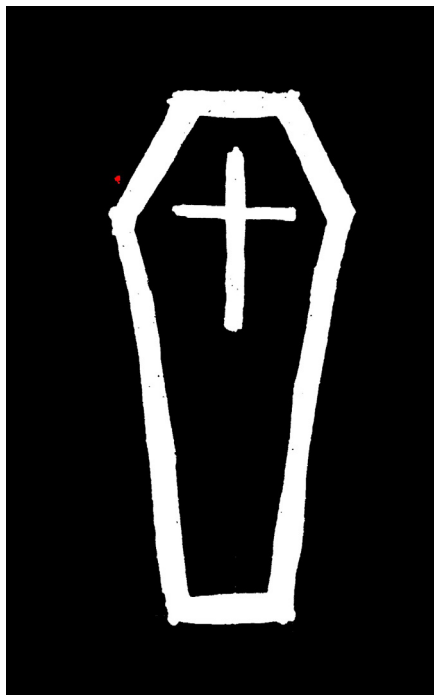
Shapkin: Wszystko jest wystarczająco poetyckie i banalne zarazem. Półtora roku temu pracowałem nad całkowicie innym materiałem, przygotowywałem solowy program i zamierzałem jechać autostopem do Europy, grać muzykę na ulicach, śpiewać pieśni narodowe pod gitarę i dudy, didgeridoo i bęben. Wszystko tak by się potoczyło, ale pierwsze starcia na Wschodzie, emocje z tym związane, mój upór i pragnienie, by jakoś wpłynąć na sytuację – nie siłą, a słowem, zrobiły swoje i zacząłem myśleć o stworzeniu grupy.

Kazimierczak: Wiedzieliście od razu, jaki charakter ma mieć Wasza muzyka? Jak wypracowywaliście obecny kształt utworów?

Demeschenko: Nie. I to ma masę przyczyn. Założyliśmy, że podstawą naszej twórczości będzie eksperyment. Śmiało i z wielką przyjemnością mieszamy różne style i gatunki, nazywając wszystko to fusion. I zawsze w finale pracy szukamy nie harmonii, a raczej emocji i energii. I to jest nieprzewidywalny proces. Nierzadko bywało tak, że budowaliśmy podstawę przyszłej piosenki na przestrzeni miesiący, a potem zmieniamy wszystko totalnie, nie zostawiając nawet podobnych nut.

Kazimierczak: Wasza muzyka, chociaż bardzo poetycka, ma jakiś buntowniczy, w moim odczuciu, typowy dla Wschodu nerw. Zgodzicie się z tym?

Jaroslav Anosov: Nie całkiem. Poezja jest buntem. Skierowanym chociażby przeciwko prozaicznej rzeczywistości. Wschód w danym wypadku nie jest niczym więcej, niż tylko kierunkiem na mapie. A czy Zachód nie był buntownikiem? Na przykład Wielka Brytania zrodziła punk, który stał się wielkim społecznym ruchem, sposobem



Winda
rys. Najgorszy Malarz na Świecie

rozumienia świata, a nawet w pewnym sensie religią dla zbuntowanych mas. A punków z kolei inspirowała między innymi francuska poezja Arthura Rimbauda. I to zwyczajna rzecz w sztuce.

My nie jesteśmy zespołem społecznych buntowników. Działamy w bardziej wąskich ramach. Nasza muzyka to bunt, który dotyczy wszystkiego utkwionego, przyziemnego i typowego. Łączymy słowa i muzykę i otrzymujemy nasz poetyczny nerw. Bardzo często dzieje się to intuicyjnie. Na przykład nasza kompozycja Flyuhery to poemat i mam nadzieję, że dla naszych słuchaczy podział na Wschód, Zachód, Północ i Południe nie ma szczególnego znaczenia.

Niedawno po koncercie w Kijowie, podszedł do mnie mój znajomy i powiedział: „to, co wy gracie, jest zbyt konceptualne, będzie Wam trudno znaleźć swoją publikę”. I po części miał rację. Mam wrażenie, że na Ukrainie publiczność wybiera

muzykę według gatunków – i jakie to jest nudne! Dlatego też naszą energię kierujemy na bunt, który może pomóc nam i naszym słuchaczom rozszerzyć horyzonty rozumienia muzyki.

Kazimierczak: Z kolei na Waszych koncertach udziela się medytacyjna transowosc. Nie tylko dzięki pulsowi Waszej muzyki, ale też ze względu na charakter Waszego bycia wobec publiczności. Jak przeżywacie wykonywanie Waszej muzyki przed widownią?

John Korolov: Ruszamy się na scenie, patrzymy i gramy tak, jak czujemy się w danym momencie. Podczas występów stwarza się energetyczny krąg naszego zespołu, który zaczyna współdziałać ze sobą i z energią obecnych na sali ludzi. Kiedy i jak to się dzieje – nie wiem. Ten proces jest niekontrolowany, ale niewątpliwie to najważniejsze co się wydarza w trakcie naszych koncertów.

Kazimierczak: Teksty SHKLA mają silną ekspresywną jakość. Jak traktujecie słowo?

Shapkin: Dla mnie słowo jest silniejsze od jakiegokolwiek broni, jakiegokolwiek bomby. Wiem, to nie brzmi dobrze, niezbyt filozoficznie, ale ja rzeczywiście w to wierzę. Na co dzień mówię bezładnie, dużo, często uciekam się do dygresji, mówię wszystko, co przyjdzie mi do głowy i mam z tego powodu nieprzyjemności. Ale w twórczości jest inaczej. Jeśli nie mam czego powiedzieć, nie mówię. Każde słowo w twórczości SHKLO jest ważne i czasem walczę z chłopakami, udowadniając, że właśnie ten zbiór słów i właśnie taki ich porządek odkrywają sedno.

Kazimierczak: W tej chwili na soundcloudzie zamieściliście 5 studyjnych utworów, które w ramach naszej wspólnej trasy zostaną wydane fizycznie nakładem Portalu DLA KONTRASTU. Wiem z Waszych koncertów, że materiału macie znacznie więcej. Jakie są Wasze dalsze plany? Jakie macie możliwości wydawnicze, jakie potrzeby?

Jaroslav Anosov: Mamy w planach dalsze podróże i granie muzyki. Nagrać album, stworzyć muzyczny performance, nie przestawać eksperymentować i wyrażać siebie. Ponieważ nasza muzyka nie wpisuje się w żaden określony gatunek, ciężko wyobrazić sobie jakiś label na Ukrainie, który chciałby nas wydać. I chociaż niektóre nasze kompozycje uważam za „popowe”,

w ukraińską współczesną popkulturę również się nie wpisujemy. Ale jedyne, czego tak naprawdę potrzebujemy – to ludzie, którzy są gotowi z nami współpracować i publika, którą ciekawi coś nowego i nieznanego. Nie mówię teraz tylko o Ukrainie, chodzi o całokształt.

Kazimierczak: Jak na tak młody zespół sporo wyjeżdżacie za granicę. Co Was przyciąga do Polski?

Demeschenko: Kultura i sztuka nie mogą być zakonserwowane w jednej przestrzeni, to własność całego człowieczeństwa. I dla nas, jako dla młodej grupy, tym bardziej ważne jest jeżdżenie, poznawanie się, komunikowanie, znajdowanie nowego. Europa to teren bez granic z ogromną kulturą przeszłością i teraźniejszością, kultura jest lokomotywą, za którą ciągnie się wszystko. Ukraina i Polska są sąsiadami, mamy ogromną wspólną historię – i pozytywną, i całkiem smutną. Ale teraźniejszość jest inna, patrząc krytycznie mało wiemy o sobie nawzajem. Teraz czujemy misję niesienia naszej kultury do Europy. I poznawania Ukrainy ze współczesną Europą.

Każdy nasz koncert to doświadczenie, zawsze analizujemy sukcesy i błędy. Szczególnie ważne jest dla nas doświadczenie za granicą. Kiedy nasz słuchacz nie rozumie języka, jest czysty w swoim odbiorze emocji, nic mu nie podpowiada, co powinien czuć.

Kazimierczak: No właśnie. Teksty Waszych numerów są po ukraińsku. Na jakim poziomie chcecie komunikować się z obcojęzycznymi uczestnikami koncertów?

Anosov: Będziemy nadal komunikować się z ludźmi językiem muzyki. Język to jedynie instrument wyrażenia i w danym momencie SHKLO wyraża się poprzez język ukraiński, który współlistnieje z rosyjskim i niewykluczone, że z czasem będziemy dodawać też inne języki. Tu trzeba zrozumieć, że nie stawiamy sobie za cel promowanie języka ukraińskiego, Shapkin po prostu w nim śpiewa. Nasz język jest piękny, melodyjny, i w tym momencie najbardziej podkreśla naszą muzykę. Poza granicami Ukrainy on brzmi egzotycznie, jeśli nie bierzemy pod uwagę diaspory. Chociaż język ukraiński w diasporze znacząco odróżnia się od tego, którym my komunikujemy się na co dzień.

Podoba mi się, że ostatnio zaczęliśmy przywiązywać mniejszą wagę do tekstu. W dwóch ostatnich kompozycjach zauważal-

nie zmniejszył się tekstowy ciężar, a na jego miejsce wskoczył ciężar muzyczny. Z pięciu minut dźwięku mniej więcej minutę zajmują słowa. A co będzie dalej, tego nie wiadomo. Snuć opowieści i wyrażać siebie za pomocą muzyki jest znacznie bardziej ciekawie. Chociaż wszyscy członkowie naszej grupy niewiarygodnie lubią twórczość zespołów 2HCompany i SPBCZ.

Kazimierczak: A nie macie problemów z wizami?

Shapkin: Nie, i mam nadzieję, że ich nie będzie, jako że dopiero zaczynamy nasze gościnne występy. W przyszłości zamierzamy dużo jeździć, nie tylko po Europie.

Kazimierczak: Opowiedzcie o projekcie Baranivka Music Lab. Kto tam przychodzi? Po co? Jak to jest zorganizowane?

Shapkin: Baranówka to wieś w obwodzie połtawskim na Ukrainie. Baranivka Music Lab 2015 to pierwszy taki niezależny festiwal alternatywnej muzyki, a dokładniej festiwal "tworzenia" alternatywnej muzyki, swego rodzaju obóz letni dla tych, którzy chcą z jednej strony poczuć się jak ziarno piasku, a z drugiej – jak skała. Kiedy próbuję opisać wszystko to, co działo się tam podczas przygotowań i w czasie samego festiwalu, boję się, że nie uda mi się przekazać chociażby połowy uczuć i emocji, które wtedy przepełniały mnie, i prawdopodobnie każdego, kto tam był.

Projekt był wymyślony i zrealizowany w ciągu zaledwie dwóch miesięcy, jako próbny edukacyjny festiwal dla muzyków. Posiadanie specjalistycznego muzycznego wykształcenia nie było wymagane od uczestników. Był on stworzony z myślą o tych, którzy są gotowi szukać czegoś nowego, prawdziwego w sobie i dzielić się tym. Baranivka to miejsce spotkań i dialogu muzycznego, ale i zanurzenie w znajdującej się tam dzikiej przyrodzie, oszałamiającym pięknie tej przestrzeni. Opozycja dla współczesnych festiwali i zasad show biznesu.

Latem 2015 w festiwalu uczestniczyło 13 muzyków i 2 reżyserów dźwięku z różnych zakątków Ukrainy. Z kolei latem 2016 planujemy zorganizować międzynarodowy festiwal, w którym wezmą udział muzycy z Ukrainy, Polski, Niemiec, Anglii i USA. Żeby zostać uczestnikiem festiwalu, wystarczy wypełnić ankietę i dostać potwierdzenie od organizatorów projektu podczas kolejnej rekrutacji do zespołu muzyków Baranivka Music Lab 2016.

Kazimierczak: Jak oceniacie muzyczną scenę niezależną na Ukrainie? Jakie zespoły cenicie, w jakich festiwalach uczestniczycie, jakie są u Was niezależne labely?

Shapkin: To bardzo dobre pytanie! Niezależnej muzycznej sceny jako takiej na Ukrainie nie ma! Z radością mogę powiedzieć, że czasy "niebieskich ogni" i reszty postsowieckiego gówna z pewnością po cichu odchodzą do wieczności, a na ich miejscu pojawia się coś nowego.

W ukraińskiej muzyce okrutnie zanoczyły się lata 90. Upadek ZSRR u nas wiązał się z wojenno-politycznym konfliktem z Rosją. W związku z tymi wydarzeniami przed muzykami pojawiło się zarówno dużo możliwości, jak i problemów. Rynek muzyczny nabrał narodowego znaczenia. Dziś muzyków na Ukrainie wielbi się i jest się z nich dumnym, ale... nadal są oni artystami za darmo. Mamy obecnie kilka nowych, interesujących projektów bardzo dobrej jakości, które wyszły z podziemi i właśnie one teraz tworzą naszą niezależną scenę muzyczną. Nie chcę mówić o gwiazdach, o tych, które i 5, i 10 lat temu zbierały całe stadiony. Ciekawią mnie jedynie nowe osobowości i nowe brzmienie. Przecież to właśnie nowe pokolenie stworzy konkurencję staremu i ono za kilka lat będzie nadawać kierunek wszystkim kolejnym pokoleniom, dopóki nie przyjdą jeszcze bardziej utalentowane i młodsze od nich.

Kazimierczak: Ale mimo to stykacie się z tzw. branżą muzyczną.

Shapkin: Zarządzania na Ukrainie dziś nie ma, na co się skarżą wydawnictwa i biznesmeni we wszystkich typach biznesu. Według mnie dzisiaj ta sytuacja i tak troszkę się poprawiła, widać choćby większą odpowiedzialność organizatorów koncertów. Nadal jednak można zauważyć, że poza znanymi grupami 70% muzyków ma półpuste sale. Odwołuje się trasy koncertowe, wiele projektów nie wytrzymuje i przestaje istnieć, powstaje okrutna naturalna selekcja.

Ale nadal – szczerze się cieszę za tych niewielu, którym udało się wyrwać, wziąć to wszystko na klatę, prawidłowo przygotować materiał i reklamę, i w rezultacie zebrać pełne sale, grać, pracować i zajmować się czymś, co się kocha. I bez względu na to – nie niszczyć jakości muzyki i tekstu.

Ostatnio coraz częściej można też zobaczyć nowych muzyków na wielkich festiwalach. Oczywiście nie zawsze są oni na

„Gadka Dziewiąta”

Nie bardzo kształtny i z całego ciała
Ręka mi tylko a głowa została.
Ręka wždy miękka, ale wierzch stalowy,
I głowa, której boją drugie głowy,
A tak się boją, że się kryją w ściany
I w twarde kruszec, i w kamień ciosany.
Kędy się ozwę, otworzą mi śmieie,
Wolno mi rozruch czynić i w kościele;
Jako król wielki, choć nie mam tej żądze,
Trzymam minicę i biję pieniądze.

Jan Andrzej Morsztyn

głównych scenach, ale jednak to pokazuje, że wraz z rozwojem niezależnej sceny rośnie też świadomość organizatorów festiwalu. Oczywiście na Ukrainie jest wiele komercyjnych wydarzeń muzycznych, których organizatorzy nie mają nic wspólnego z ideą rozwoju, a myślą jedynie o sprzedaży biletów. Na takich festiwalach można zobaczyć ulubionych wykonawców, ale ideowo nie ma w tym nic nowego.

Kazimierczak: Czyli jest dla Was ważne miejsce, w którym występujecie?

Shapkin: Uczestniczymy w festiwalach, które są dla nas interesujące, lub kiedy dostajemy propozycję, lub – jak często bywa – sami szukamy tego, co jest dla nas interesujące. Bardzo często dowiadujemy się o różnych festiwalach w ostatnim momencie – z reklamą mamy na Ukrainie

pewne problemy, zwłaszcza jeśli impreza jest niewielka. Ale jesteśmy otwarci na wszelkie propozycje i tego lata planujemy odwiedzić jako uczestnicy co najmniej kilka wielkich i mniejszych festiwalu na Ukrainie i nie tylko.

Gościem tego wywiadu był:

Zespół SHKLO – to mieszanka alternatywnego rocka i folku. Od początku swojej działalności pracowali nie tylko jako muzycy, ale animatorzy kultury. Powstał w 2014 roku w Charkowie.

Wywiad przeprowadzony dnia 8 lutego 2016 r.

*Rozmawiał Szymon Kazimierczak
dlakontrastu.pl*

Tłumaczenie: Ola Natasza Skupińska

“Simy na stażu” - recenzja spektaklu

„Simy na stażu” to spektakl zrodzony w głowie Patrycji Sawickiej, zagrany przez trójkę aktorów (Ewelina Gnysińska, Marcin Zarzeczny, Krzysztof Brzazgoń), z reżyserią zbiorową.

Dlaczego od tego zaczynam swój tekst? Pędzę z wyjaśnieniami: taka praca jest mi, jak i za pewne innym grupom powiązanych z offem, bardzo bliska - spektakl tworzy cały zespół, nie jednostka. Moim zdaniem nadaje to większej autentyczności wypowiedzianym ze sceny słowom. Mamy tu także dowód na to, że nowe pokolenie zawodowych aktorów nie boi się wyzwania i odejścia od schematu pracy w teatrze - bez mrugnięcia okiem nawiązali współpracę z Patrycją, pomimo, że jest to jej pierwszy spektakl.

Treść, jak można łatwo wywnioskować z tytułu, mocno zderza się z tematem stażystów, stażu i wszystkiego co z nim związane. Miałem okazję zetknąć się z tym „straszyłem”, które śni się studentom po nocach - zarówno bezpośrednio jak i w opowieściach. To jednak rzecz, którą strasznie łatwo odczytać - wręcz jest podana na tacy. Mnie bardziej zaintrygowała relacja między tym, który jest „nad” i tym, który jest „pod”. Tu dopiero wychodzi na wierzch ludzka natura - wykorzystuje każdą przewagę nad słabszym.

Cały czas postacie muszą toczyć o coś walkę - często z góry przegraną, iść na kompromisy - często niechciane. Nie jest kolorowo, ale...

Nie jest to opowieść z potem, krwią i łzami, podana w przyjemny sposób, niby zabawna, wręcz odrealniona. Przecież mamy odniesienia do znanej gry komputerowej „The Sims”, gdzie jeżeli nawet przytrafi się coś złego danej postaci, to przecież tylko część zabawy, a życie toczy się dalej. Na jej miejsce tworzy się nową, i mniej lub bardziej zaniedbuje jej potrzeby, chcąc osiągnąć (najczęściej) szczyt kariery w danym zawodzie (bo kto nie chciałby być astronautą, znanym sportowcem albo gwiazdą telewizji). Sytuacja w sztuce wydaje się taką wymyśloną rzeczywistością, lekką, przyjemną i bez konsekwencji, ale wszystko po to, by odwrócić uwagę, że co jakiś czas wbija się nam kolejne szpile, podrzuca tematy i wnioski, którymi zajmujemy się dopiero po zakończeniu spektaklu.

Nie ma wątpliwości, że spektakl ten dotyczy przede wszystkim ludzi urodzonych pod koniec lat osiemdziesiątych (a teraz to nawet i na początku lat dziewięćdziesiątych). Nie uważam jednak, że starszy widz niczego w nim nie odnajdzie, wręcz przeciwnie - wszystkie sytuacje, z jakimi spotykają się Simy, spokojnie mogą mieć miejsce w normalnej pracy na pełnym etacie.

Interesujące jest to, że aktorzy wcielają się w kilka ról, płynnie przechodząc z jednej w drugą - a zarazem grając je w taki sposób, że wydaje nam się jakbyśmy mieli przed sobą przynajmniej dwukrotnie więcej aktorów niż jest w rzeczywistości. Zastanawiałem się, czy kogoś z nich wyróżnić i po dłuższym czasie doszedłem do wniosku, że musiałbym wszystkich. Ewelina, Marcin i Krzysztof mają to coś, a co najważniejsze - w przypadku tego spektaklu i na scenie - są zespołem, a to jest jedna ze składowych jego sukcesu.

Jak wspomniałem na początku - to pierwsze dzieło Patrycji Sawickiej. I gdybym nie dowiedział się tego od autorki, nigdy bym tak nie pomyślał. Nic nie dzieje się tu bez przyczyny, żaden gest nie jest bez znaczenia, widać, że wszystko zostało dobrze przemyślane i przygotowane zanim trafiło na scenę. Gdybym za ten sceniczny „staż” miał wystawić im ocenę, byłaby bardzo dobra. Jeżeli będziecie mieć okazję, obejrzyjcie ten spektakl - po prostu warto.

W lutym (26.02 /piątek/ i 27.02 /sobota/) w Teatr Druga Strefa w Warszawie odbędzie się stołeczna premiera Simów!

Recenzował Karol Barcki

„The Hateful Eight” („Nienawistna Ósemka”)

O czym to jest: Ośmioro nieznajomych zostaje uwięzionych w chatce pośródku śnieżycy.

Zanim zacznę opisywać jedną z bardziej wyczekiwanych premier tego roku, wyjaśnijmy sobie jedno: wszystkie filmy Quentina Tarantino są dobre. Kropka. Wiadomo, niektóre są lepsze, inne trochę gorsze, ale wszystkie są dobre (wliczając również te, w których był tylko scenarzystą). Niemniej trzeba zaznaczyć, że od czasu do czasu zdarza się mu film wybitny, który przechodzi do historii kina. Taki dziełem był „Django”, który - jak się okazało - za pomocą groteski i czarnego humoru we wstrząsający sposób rozprawił się z kwestią niewolnictwa w czasach Dzikiego Zachodu. Sam Tarantino zawiesił sobie poprzeczkę bardzo wysoko, kręcąc zaraz po „Django” kolejny western, i to częściowo z tymi samymi aktorami. I niestety, w tym nieuchronnym zestawieniu, „The Hateful Eight” wypadło znacznie gorzej.

Osobiście doszedłem do następującego wniosku: Quentinowi nie wychodzi kręcenie filmów na poważnie. To, co czyni jego dzieła wybitnymi, to groteska oraz wspa- niała szermierka słowna za pomocą znakomitych dialogów. Gdy jednak odedrze się

obraz z tarantinowskiego czarnego humoru, zaczyna się robić lekko niestrawnie. Co ciekawe, „The Hateful Eight” z dotychczasowych filmów reżysera przypomina najbardziej nie „Django”, ale jego faktyczny debiut, a więc „Wściekle Psy”. Czyli jednym zdaniem: mamy grupę niebezpiecznych koleśi w zamkniętej przestrzeni, którzy sobie nie ufają i ukrywają przed sobą śmiertelnie groźne sekrety. Kto przeżyje, kto zginie, a kto wygra? Tego musicie się sami dowiedzieć. Może dlatego nie znalazłem w „The Hateful Eight” niczego specjalnie odkrywczego - wszystko to Tarantino pokazał nam już w 1992 roku.

Technicznie rzecz jasna jest bez zarzutu. Jest krwawo, a nawet bardzo krwawo (co też przywodzi na myśl wspomniane „Wściekle Psy”). Reżyser nie szczędzi nam przemocy na ekranie, a nikt z bohaterów nie może się czuć bezpiecznie. Niestety dialogi są zaledwie poprawne, a montaż dosyć surowy - tak jakby Tarantino zamieścił w filmie wszystkie nakręcone sceny, bez żadnych cięć i edycji. Pod względem aktorskim wybiły się trzy kreacje. Po pierwsze Samuel L. Jackson w roli Łowcy Nagród, de facto główny bohater filmu, który nie miał u Quentina tyle czasu na ekranie od epoki „Pulp

Fiction”. Drugą gwiazdą jest rewelacyjna Jennifer Jason Leigh w roli Więźniarki, nominowana (słusznie!) za tą rolę do Oscara. W pamięć zapadł mi też nieznan mi wcześniej Demián Bichir w roli Meksykańca, od którego wręcz nie mogłem oderwać wzroku. Co do pozostałych, to trzeba zaznaczyć, że oglądanie filmów Tarantino to jak wyprawa do ulubionego teatru, gdzie w kolejnych rolach grają ci sami aktorzy. W „The Hateful Eight” większość obsady była albo taka sama, jak w innych rolach (Michael Madsen identyczny jak w „Kill Billu”, Walton Goggins niemal identyczny jak w „Django”), albo też nieco gorsza (Kurt Russell był lepszy w „Grindhouse”, a Tim Roth w „Czterech Pokojach”). Odnosiłem zresztą wrażenie, że rola Tima Rotha była idealnie napisana pod Christophera Waltza - aż dziw, że tu się nie pojawił.

Oczywiście nie zapominajmy o najważniejszym: ogląda się to w porządku, o ile ktoś oczywiście lubi styl Quentina Tarantino. Jeśli reżyser dotrzyma słowa, czekają nas jeszcze tylko dwa filmy w jego wykonaniu, choć osobiście mam nadzieję, że nie będą to już westerny. Czas na nową epokę w twórczości reżysera. Może prohibicja?

Wniosek: Mogło być wybitne, a jest tylko dobre.

*Recenzował Karol Dobosz
jestkultowo.blogspot.com*

Redakcja zmienna jest:

Karol Barcki - redaktor naczelny
Karol Dobosz - pismak
Miłena Hościłło - ilustracje
Szymon Kazimierzczak - pismak
Dominik Nyczak - oprawa graficzna
Maciej Ratajczyk - ilustracje
Olga Sienkiewicz - pismak
Ola Natasza Skupińska - tłumacz
Dominik Smaruj - pismak
Magdalena Tomaszewska - skład i łamanie

Rezonerowy soundtrack:

śłuchał Scars On Broadway - „World Long Gone”
śłuchał Ennio Morricone - „L'Ultima Diligenza Di Red Rock”
śłuchała Billy Boyd - „The Last Goodbye”
śłuchał SHKLO - „The Sun”
śłuchał Stilz - „Hyperspace Drifter 2”
śłuchał Pink Floyd - „High Hopes”
śłuchała Adam Crystal - „Dakini: Movement IV”
śłuchała SHKLO - „Weathervanes”
śłuchał Hey - „Woda”
śłuchała Rudolf Affaire Mayerling „Die Faden in der Hand”

Chciałbyś coś dla Nas napisać, stworzyć?
Wysłać swoje sugestie, opinie?

Pisz na adres: rezoner.kulturalny@gmail.com

Podczas tworzenia materiałów do tego numeru, każdy z Nas czegoś śłuchał, jeżeli czytacie Nas przy komputerach (lub po powrocie do domu z wersją papierową) to warto sobie odpalić konkretną piosenkę podczas czytania tekstu danego autora.

Do następnego!